Cena 10 gr.

NARÓD I WOJSKO

Dwutygodnik, ukazuje się 1 i 15 każdego miesiąca. pod redakcją **Władysława Ludwika Everta.**

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Warszawa, Puławska 113.

Rok I. Nr. 2. 1 kwietnia 1927 r.

Redaktor przyjmuje po uprzedniem porozumieniu się telefonicznem, Telef. 249-44, między 3—4.

NIEKARNOŚĆ POLSKA—OTO WRÓG! ZABIJCIE WROGA!

Prawo zwycięzcy.

Uczniom i uczennicom moim poświęcam

SERCA MIERNOT.

II

Nic tak nie upadla narodu, jak niewola — nic go tak nie wyjaławia duchowo i nie poniża, jak brak własnego państwa. Polska od roku 1704 wyzbyła się istotnej państwowości, zaś od lat 125 z nrzywkowymi półprzerwami, znosiła niewolę. Mamy za sobą 214 lat wyjaławiania ducha i 125 lat upadlania. Przetrwaliśmy. Więcej. Z kałuży, w którą nas cisnął los i własne błędy, unieśliśmy czystym, wnodzony genjusz narodu, iskrę puścizny dziejowej Piastów, Żółkiewskiego, i Dąbrowskiego. W głębinie serc polskich gorzeje znicz zapalony mocarnemi dłońmi Mieszka i Chrobrego Bolka — gorzeje, by spowodować jeszcze kreślenie wiekich słów na kartach dziejów...

Lata niewoli, jednak, zrobiły swoje. Niejedno serce zmiękczyły w błotku poniżenia, niejedną duszę skarliy, niejedno czoło, myśli i serce napiętnowały stygmatem miernoty.

I stało się tak, że w współczesnem życiu polskiem, jako balast najgorszy, jako kula u nogi, wlóczą się setki i tysiące miernot, by każdem słowem, każdym czynem, każdym odruchem opóźniać rozkwit Narodu, utrudniać zmudną, acz zdobywczą drogę ku promiennemu Jutru Polski.

Serca Miernot..

„Bitwa przegrana — mówi Józef de Maistre — to bitwa, którą uznaliśmy za przegraną", odnosi się to z jednaką słusznością do każdej walki w życiu. Serca miernot uznają bitwę za przegraną, nim wejdą w linję ognia — w najlepszym razie, po pierwszej przegranej potyczce. „Ze wszystkich błędów — stwierdza marszałek Foch — jeden tylko jest haniebnym, a jest nim bezczynność". Serca miernot lubują się w bezczynności. Gdy widzą zło, załamują ręce, zapełniają świat jałowem stękaniem, rozdzierają szaty nad przejawem zła, kraczą złowróżbnie, winią rząd, ogół losy—nie decydują się jednak zakasać rękawów i przystąpić do zwalczania zła, w dostępnym dla nich zakresie.

Serca miernot...

Miernota mówi o wszystkiem, wie wszystko, zna wszystko — wszystkiego dokonałaby lepiej, prędzej, skuteczniej. Najchętniej zabiera głos w sprawach, o których nie ma zielonego pojęcia, rozstrzygając bezapelacyjnie najskomplikowańsze zagadnienia. Wszystko, co jest jej niewygodne, mianuje głupstwem i bezmyślnością i to z reguły głupstwem „możliwem tylko u nas", „przy naszym rządzie". Krytykuje wszystko z niczego nie jest zadowolona.

Dla miernoty „u nas" jest zawsze najgłupiej, najgorzej, najtrudniej... Nawywy szowinizm, przeinaczyła naodwrót: u obcych, gdzieś we wszechświecie, dostrzega wszystko, radosne, celowe — u siebie, w ojczyźnie, wszystko złe, smutne, bezmyślne. Szerzy z zamiłowaniem panikę, kolportuje najstraszliwsze i najbezsensowniejsze wieści. W każdym przesileniu rządowem widzi znamię anarchji, w każdem wrzodzie społecznym doszukuje się gangreny organizmu, każdy kryzys gospodarczy uznaje za beznadziejne bankructwo, w każdej porażce widzi przegraną wojnę, z każdej podróży zagranicę przywozi wieści o zupełnym upadku powagi Polski, o powszechnej dla Niej niechęci i pogardzie, lubuje się w czarnych, najczarniejszych barwach.

Martwi się szczerze fantasmagorją, którą sama wywołała. Nie widzi nic z tego, co naród już, w najcięższych warunkach, dokonał, dostrzega doskonale i wyolbrzymia potężnie wszystko, czego dotąd nie zdziałał...

Serca miernot...

„Dzisiejszemu pokoleniu — poucza Ford — potrzeba głębokiej wiary, głębokiego przeświadczenia, że wszystko można urzeczywistnić" — miernota ma dla każdego poczynania uśmieszek zwątpienia. Brak jej promiennego zaufania we własne siły, w zasoby własnego narodu.

„Karność stanowi zasadniczą siłę", uczy zwycięzca w największej z wojen świata — Foche — źródło zwycięstwa, to „obowiązek i karność", wymagające (według Kettlera) wiedzy i rozsądku. „Lenistwo umysłu prowadzi do niekarności, tak samo, jak nieposłuszeństwo" (Foche). Serca miernot są leniwe i nieposłuszne.

Miernoty są wypełnione frazeologją. Nakłujcie ich szpilką, a tryśnie fontanna frazesów — świdrujcie świdrem najgrubszym — nie doświdrujecie się strumyka czynu. Mężczyzna mówi: zrobiłem. Miernota jedynie: zrobiłbym.

Niewiara we własny naród, nieufność we własne siły, panikarstwo, posunięte do przesady najjaskrawszej, ustawiczne podkreślanie istniejących braków, przy uporczywem niedostrzeganiu dzieł dokonanych, zwalenie wszystkich win na rząd i ogół, osądzanie w czambuł wszystkiego niedogodnego, pycha, nie dozwalająca się przyznać, iż czegoś się nie wie, nie rozumie, czy nie umie, oto cechy serc miernot.

Współczesne życie jest walką. Prawa tej walki nie są zbadane jeszcze. Interes jednostki ustąpić musi zawsze przed interesem ogółu. Nie wolno pomn...iem niewiary, biernym oporem nieufności, nagminiem faktów życia pod kątem widzenia własnego chwilowego interesu, utrudniać pochód Polski.

Joli de Fleuri — najniedołężniejszy minister niedołężnego, obłudnego i miernego króla. — Joli de Fleuri, generalny kontroler finansów Ludwika XVI, wyraził publiczny żal i zdziwienie, iż nie wydano dotąd „najpożyteczniejszego prawa", nakazującego ludziom pod grozą surowej kary, utrzymywać swą ciekawość w „należnych granicach" i zabraniającego im mówić, pisać i dyskutować o rzeczach, „przewyższających ich rozumienie".

Prawo takie nie było nigdy, nigdy nie będzie i nigdy nie może być wydane.

A szkoda jednak, iż nie można zagrozić nim i opanować serca miernot.

W Polsce nie jest „najlepiej", nie jest tak „dobrze", jak być powinno, — nie jest nawet tak dobrze, jakby być mogło. Ale jest lepiej, niż było, lepiej, niż by być mogło. Reszta zależy od nas.

Od serc mężczyzn.

Musimy zwyciężyć!

Jest to wprost nieznośne!

Dzień w dzień, co mgnienie od rana do nocy, sto tysięcy razy na godzinę, miljony ludzkich megafonów, miljony żywych tląb, krocie rozdziawionych paszcz, ogłuszają Polskę wrzaskliwem: My... my... my...., U nas::: u nas::: u nas...

Co za „my"? Mów wyraźnie: Ja — Ty — On.. Co za „u nas"? Jasno i szczerze: U mnie — u Ciebie — u Niego...

W pojęciu „my". dumie świadomej zbiorowości kryje się źródło niespożytej mocy, gdy jest ono. owe „my" zespoleniem sił jednostek, idących społem bronić czy zdobywać, gdy w owem „my" tai się potęga wspólnie podjętego dzieła — ale w pojęciu tem, mieścić się może zarazek najstraszniejszego marazmu, znamię upadlającego bezczynu, gdy zaczyna się w mistycznem, nieujętem, nieuchwytnem „my" i „u nas" roztapiać własne niedołęstwo. własny bezwład, niechlujstwo własnej myśli, atrofję własnej woli, drobiny własnych przewinień.

Osiągnięto coś — natychmiast sto tysięcy mierobów, wypinając piersi wrzeszczy chełpliwie: my... my... my... Nie z radości osiągnięcia, a z chęci ustrojenia w źdźbło niezasłużonego wawrzynu, własnych, pustych głowin. Poniesiono porażkę — i znowu, niezwłocznie, sto tysięcy mierobów, nie przyczyniających się niczem do dzieła, niezdolnych do niczego, prócz płaskiej, jak blat kawiarnianego stolika, krytyki, lamentuje płaczliwie: bo to u nas... u nas... u nas...

I nie pomyśli jeden z drugim, że to zwycięstwo osiągnięto bez jego udziału, że kryjąc się w zbiorowem „my" popełnia wewnętrzne fałszerstwo, że ta porażka, którą zwala, faktem lamentu, eliminując się niejako, na nieuchwytne „u nas" poniesioną została w części, i dzięki jego, pasorzytniczej bezczynności.

Umorusani duchowo płaczliwcy lubują się w roztapianiu własnego osobistego, prywatnego niedołęstwa i gnuśności ducha, w mistycznem „my" i „u nas" które za nich odnosi tryumfy i ich rzekomo rozgrzesza z bezwładu i porażki.

W odmętach swoistego zupełnie, powierzchownego, płytkiego a grząskiego demokratyzmu, pojmowanego tępo a niefrasobliwie, utopiono jednostkę, rozgrzeszając się zgóry, serdecznie a starannie, z konieczności osobistego wysiłku.

I oto dzień w dzień, od rana do nocy, sto tysięcy razy na godzinę, miljony ludzkich megafonów, miljony żywych tub, krocie rozdziawionych paszcz, ogłuszają Polskę wrzaskliwem: My... My... My... U nas... U nas... U nas...

Czas skończyć! Z mętnej fali ludzkiego zbiorowiska należy wyciągnąć CZŁOWIEKA, zbiorowe „My" rozbić na miljon składających je jednostek, aby na każdej z nich, spoczęła drobina winy, czy zasługi. Nie „my" tworzymy życie, a ja, ty, on — nie „u nas" jest źle, czy dobrze, a u mnie, u ciebie, u niego...

„Nie legjony rzymskie zdobyły Galje, ale Cezar. Nie żołnierze kartagińscy wzbudził trwogę w Rzymie, ale Hannibal. Nie falanga macedońska dotarła aż do Indyj, ale Aleksander. To Fryderyk II, przez siedem lat bronił Prus przed trzema największemi potęgami Europy, a nie żołnierze pruscy". Tak pouczał Wielki z wielkich — Napoleon.

Z odmętów bezosobowego „my" wyłowić trzeba jednostkę, a wyłowić po to, by świadomą zadań i obowiązków, świadomą swej osobistej odpowiedzialności, sprząc z miljonem innych jednostek, w potężne, twórcze, wielkie „My".

Powstać musi „my" złożone z setek tysięcy „ja" — „ja" świadomych swej odpowiedzialności za każde podjęte dzieło, gotowych do pracy bez czekania na okrzyk zachęty, podejmujących walkę z każdem dostrzeżonem złem, wspierających ochoczo każdy twórczy wysiłek, ufnych w moc własnego ducha i własnej woli, karnych i posłusznych nakazom wodza, świadomych, iż faktem swej przynależności do zbiorowiska odpowiadają za wynik jego pracy.

Szczeznąć musi „my" nieuchwytne a tajemnicze, na którego barki składa się wyniki własnego bezwładu myśli, bezczynu i woli, gnuśności serca i mierności ducha.

W życie polskie wejść musi, i życiem polskim owładnąć, falanga wojowników, wojowników niestrudzonych, niezłomnych a karnych, wojowników wyznawanej idei, wyznawanej wiary.

Bowiem czeka nas walka. Bezwzględna i twarda walka na każdym polu.

A my musimy zwyciężyć!

Evert.

U podstaw mocy.

(uwagi o reformie wychowania fizycznego w szkolnictwie średniem).

II.

Powiedzmy sobie odrazu, szczerze i otwarcie. po za kilku, czy kilkunastu szkołami polskiemi, czyniącemi częściowo owocne, a częściowo spazmatyczne wysiłki wychowawcze, przeciętna, normalna, nawet przeciętna dobra i bardzo dobra szkoła polska jest tylko uczelnią. Wszystkie jej organa powstały i zastosowane są do celów nauczania (nie negujemy bynajmiej, iż z faktu „nauczania" pośrednio wypływa pewien efekt wychowawczy) — organa zaś, nominalnie ściśle wychowawcze, są w części fikcją, w części organami administracyjnemi, a w części tylko, kuszą się o ułamkowe wychowywanie.

Nie wypływa to bynajmniej ze złej woli, czy niechęci podjęcia zadań. Poprostu jest to wynikiem struktury szkoły, nadanego jej programu, warunków materjalnych w jakich egzystuje, stosunku wreszcie, do niej społeczeństwa. Szkolnictwo czeka z utęsknieniem swego Wielkiego Reformatora, który będzie zarazem budowniczym Nowego Ładu, przez stworzenie nowego, zdnowszego, mocniejszego typu ludzi, których wyhoduje odrodzona szkoła.

Zadaniem szkoły jest nic innego, jak praca nad kształtowaniem doskonałego obywatela, doskonałość zaś obywatelska, składa się jednako z prawości jak i tężyzny duchowej. Kształtowanie charakterów drogą perswazji i tłomaczeń — jest środkiem miłym, spokojnym i... mało skutecznym. Cel ten osiągnąć można jedynie drogą czynu, drogą urabiania myśli i woli przez ciągłość codziennych realnych, namacalnych przejawów bieżącego życia. Całokształt pracy szkolnej rozbić się daje na dwa kompleksy: pierwszy — to zasilenie przyszłego doskonałego obywatela odpowiednim zasobem wiedzy — wynik wychowawczy osiąga się tutaj pośrednio, przez należyte urabianie umysłu, pojęcia pewne i poglądy zostają wydedukowane z roboty myślowej, jest to niejako „ideologja" prawości obywatelskiej. Kompleks drugi — to bezpośrednie urabianie charakteru, drogą praktyki, naocznych, codziennych, ciągłych czynów. Oba te kompleksy stać winny na jednym poziomie — pierwszy, to kształceniowy wysiłek szkoły, drugi — to wysiłek wychowawczy, osiągany najlepiej przez t. zw. wychowanie fizyczne.

Wychowanie fizyczne, po za jedyną może szkołą Wł. Gizyckiego, traktującą je równorzędnie z innemi swemi zadaniami (uzyskano w niej, dzięki temu, w dziedzinie rozwoju fizycznego wyniki znacznie lepsze od przeciętnych na Zachodzie Europy) traktowane jest stale jako rzeczorzędny przejaw działalności szkoły. Stale zaś wychowanie fizyczne pojmowane

jest w jego największym, cielesnym zakresie, z pominięciem zupełnem i nieuświadomieniem sobie jego przeważającego, wychowawczego znaczenia.

Wychowanie fizyczne, sprowadzone powszechnie niemal do gimnastyki, w najlepszym razie, o ile, dzięki niedostatecznym kwalifikacjom nauczyciela, nie ogranicza się do jałowych poruszeń, czy jednostronnego wyrabiania mięśni, ma na celu jedynie cielesny rozwój ucznia, gdy tymczasem, powtarzam, fizyczny rozwój jest jednym tylko z osiągnięć racjonalnego wychowania fizycznego.

Wychowanie fizyczne jest przedewszystkiem szkołą charakteru i woli; winno ono psychicznie przygotowywać człowieka do codziennej walki życiowej, uodparniać go na porażki i trudy. „Dziś bardziej niż kiedykolwiek — twierdzi Ledent — rozumiemy, że znaczenie wszystkich form wychowania fizycznego polega na tem, aby móc posługiwać się naszemi mięśniami z większym skutkiem, przy mniejszym nakładzie energji, w czynnościach życia powszedniego, przejawy którego są nierozłączne z aktami woli".

Jeżeli wychowanie fizyczne ma stać się, po za swym znaczeniem czynnika rozwoju cielesnego, świadomym aktem woli wychowawczej, środkiem urabiania serc i charakterów, podlec mus: stotnemu wywyższeniu w hierarchji prac szkolnych, a zarazem zasadniczemu rozszerzeniu ram. Poszczególne cząstki wychowania fizycznego rozsiane dotąd pod różnemi nazwy, po całym programie, powtykane weń, jak drzazgi, muszą zostać zebrane razem, w jedną skoordynowaną całość.

(D. n.).

Przysposobienie wojskowe.

A. HUFCE SZKOLNE.

HUFIEC MIĘDZYSZKOLNY P. W.

Hufiec Międzyszkolny p. w. jest najstarszą organizacją p. w., na terenie szkolnym w Warszawie. Powstał jesienią w 1922 r z inicjatywy oficera instrukcyjnego kpt. Andrzeja Stracha. W owym czasie był jedyną organizacją, w której można było prowadzić pracę przysposobienia wojskowego wśród młodzieży szkolnej. — Poziom wyszkolenia był stosunkowo niski, wskutek braku broni, przyborów ćwiczebnych oraz instruktorów. Jednakże kpt. Strach, pełen niezmordowanej energji, zapalony do idei p. w. zdołał przezwyciężyć setki trudności i przeszkód, stawiając hufiec międzyszkolny na wysokim poziomie. W roku szk. 1922/23 Hufiec międzyszk. składał się z 2 komp.: 1-ej podoficerskiej, w której skład wchodzili absolwenci obozów letnich i 2-ej rekruckiej. Szefem komp. podof. był Majewski Tadeusz, który do dnia dzisiejszego pracuje w Hufcu międzyszk. i obecnie pełni funkcje komendanta tego oddziału. Poziom swój hufiec zawdzięcza głównie p. Majewskiemu, który z rzadką wprost energją i oddaniem się sprawom P. W., pracuje bezinteresownie, a zniesłabnącym zapałem w hufcu międzyszkolnym. W miarę rozwoju prac p. w. na terenie szkół warszawskich Hufiec międzyszkolny zmieniał swą rolę.— Z organizacji, ćwiczącej surowy materjał stał się centrum wyszkolenia instruktorów. Przez cały czas swego istnienia Hufiec międzyszk. był kadrą instruktorską dla obozów letnich, dostarczając obsady drużynowych, d-ców plutonów, szefów kompanij dla poszczególnych obozów. Przez cztery pół lat swej działalności przez Hufiec przeszło około 2000 ludzi. Grupował on zawsze młodzież chętną do pracy p. w., dzięki czemu wyszkolenie, oraz duch były zawsze na dobrym poziomie. Z Hufca międzyszk. znaczna ilość chłopców przeszła do Szkoły podchorążych, dając doskonały materjał na oficerów, między innemi przymus Podchorążówki Tyszka Zbigniew, Grzmielewski Tadeusz, zasłużeni instruktorzy, Hala Mieczysław, Offnowski Zbigniew i wielu innych.

Obecnie Hufiec Międzyszk. jest oddziałem instruktorskim, składającym się z absolwentów obozów p. w. bądź uczestników, którzy przeszli wstępne wyszkolenie w hufcach szkolnych. Ćwiczenia i wykłady mają na celu wyszkolenie samodzielnych i fachowych instruktorów w zakresie sekcji i drużyny. Oficerem instrukcyjnym jest p. kpt. Wyziński, komendantem Hufca Majewski Tadeusz, szefem kompanji Walczak Ryszard; z pośród instruktorów, którzy od lat kilku z zapałem i ochotą pracują w Hufcu należy wymienić: Dąbrowskiego Henryka, Nowickiego Bondana, Grzeporzewskiego Jana, Lonatę Eugenjusza. Ćwiczenia i wykłady odbywają się w gmachu i na placu h. Szkoły podchorążych, a obecnie Hufiec rozpoczyna wymarsze w pole, aby w terenie nabrać odpowiedniego wyszkolenia. Stan Hufca Międzyszkolnego wynosi około 50 ludzi: byłby znacznie większy, gdyby nie oporne stanowisko pewnych dyrekcyj szkół. Sprawność wyszkolenia, duch, ożywiający chłopców, dyscyplina stoją na wysokim poziomie, przyczyniając się do szybkich postępów w pracy.

Hufiec Szkolny Państwowej Szkoły Budownictwa w Warszawie, założony został z początkiem zeszłego roku Szkolnego i złożony jest z słuchaczy kursów I, II, i III wydziałów drogowego i budowlanego, Liczy on ogółem, głów 260, a więc należy do najliczniejszych w Warszawie, a bodaj, że i w Polsce. Kierownikiem Hufca jest p. instruktor Laskowski, pełniący swe funkcje, bezinteresownie, jak również i jego zastępca, słuchacz IV kursu B. Kłosiewicz. Hufiec rozbity jest na pięć plutonów, z których każdy ćwiczy oddzielnie po 2 godziny tygodniowo. W gronie słuchaczy, uczestników P. W., daje się zauważyć odłam, negliżujący pracę w Hufcu. Większa frekwencja, gorliwszy stosunek słuchaczy, umożliwiłby, przy istniejących warunkach, znacznie wyższy poziom od obecnego.

....**Hufiec Szkolny Seminarjum Nauczycielskiego „Przyszłość",** założony również w początku zeszłego roku szkonego, posiada szczególny walor, jako złożony z przyszłych wychowawców w szkołach powszechnych, a więc z tych, w których rękach spoczywać będzie kształtowanie dusz i charakterów młodzieży. Hufiec składa się z kursów IV i V, liczy 36 głów, i ćwiczy na poziomie I stopnia P. W. Niestety należy stwierdzić, iż poza instruktorami i niewielką liczbą seminarzystów, stosunek do Hufca, jest conajmniej obojętny. Ani zapału, ani chęci wielkiej do szkolenia się na przyszłych obrońców Ojczyzny, zauważyć wśród słuchaczy Seminarjum nie można. Jako wytłomaczenie (bo usprawiedliwiać obojętnego stosunku do P. W. nie możemy niczem) należy podkreślić ciężkie warunki szkolenowe.

B. STRZELEC.

Organizowanie oddziałów Związku Strzeleckiego na granicy Prus Wschodnich.

Pas pograniczny z Prusami Wschodniemi znajduje się pod pieczołowitą opieką stworzyć jaknajwięcej Oddziałów wzdłuż granicy. Jednakże napotyka się Związek ką Okręgu Warszawskiego, który stara się Strzelecki na opór ze strony Kurpiów, którzy z niechęcią traktują wszelkie poczynania w tym kierunku.

Kurpie bowiem sądzą, że każdy zapisany do Związku Strzeleckiego, jest w ten sposób podstępnie wciągnięty do wojska, a nawet gdzieniegdzie, że zaraz będzie wysłany na wojnę. To dowodzi o bardzo niskim poziomie kulturalnym i nierozwiniętem zupełnie poczuciu obywatelskiem. Władze szkolne winny zwrócić uwagę na braki wyrobienia obywatelskiego i społecznego między Kurpiami.

Nie może być w Polsce obywateli, nie rozumiejących, że są Polakami i czego Polska od nich wymaga. Trzeba koniecznie jaknajprędzej rozbudzić ducha obywatelskiego wśród Kurpiów, którzy powinni przechowywać tradycje swoich pradziadów, broniących się przed najazdem Szwedzkim. Synowie nie powinni zapominać o czynach swych Ojców i kultywować u siebie tradycje rozumiejącego swoje obowiązki względem Ojczyzny i jej Niepodległości. Pomimo oporu ze strony Kurpiów i niedowierzaniu, Komendant Obwodu Mławsk. ob. Jan Skrzypek utworzył nowych 6 oddziałów i nic spoczywa w swej pełnej zrozumienia obywatelskiego pracy.

Pamiętajmy o tem, że po drugiej stronie granicy znajdują się całe setki oddziałów przysposobienia wojskowego, uzbrojonych nawet w karabiny maszynowe, które mogą w razie jakiegoś konfliktu z Niemcami, wkroczyć w Nasze granice i torować drogę, kroczącej za nimi armji.



Wł. L. EVERT

Z notatnika kanoniera.

(Ze smętnym nieco uśmiechem przeglądam kartki mego notatnika — pomięte mocno, nieco brudne, kartki żołnierskie. Miały one posłużyć jako materjał do „Listów z Pola"—na pisanie ich nie starczyło jednak czasu, ni... ochoty. A potem miały być źródłem książki; książka ta, zapewne, nie będzie nigdy napisaną. Oddzielne rapsody drukowane były w „Świecie" warszawskim, w prasie poznańskiej i małopolskiej—inne prace—ważniejsze, a pochłaniające czas cały, oderwały mnie od ukochanej niegdyś roboty pisarskiej, od snu mojego życia.

Tem lepiej może, lub tem gorzej, — to już nie gra roli. Kilkadziesiąt kartek notatnika — wesołych często, a czasem smętnych—przepojonych żołnierką, tym „ostatnim szałem mych więdnących lat" zostały opracowane jednak—niegdyś.—Nimi dzielę się dziś—a dzieląc, przeżywam raz jeszcze mój kanonierski żywot, tak miły i drogi,—przeżywam chwilę, które nie wrócą — — — nigdy. Zielone z czarnem łatki były mi wówczas chlubą i dumą, na ważkich szlifach nie miałem dwóch srebrnych gwiazdek porucznika — byłem jednym z tłumu szarych żołnierzy — i jeżeli Bóg i Najświętsza Panna nie dała mi zginąć za Polskę, to byłem w każdej chwili gotów to uczynić z radością, jako i każdy inny żołnierz Rzeczypospolitej.

Byłem kanonierem — jakich tysiące —i jak tysiące innych kanonierów, szczycilem się mym stanem żołnierskim. Życie było proste i jasne. Oficer: Słuchać — wróg: bić, armata: dbać więcej niż o siebie, karabin: mieć zawsze gotowym do strzału.

A w drugiej baterji było nas takich sześćdziesięciu dziewięciu — bowiem sześćdziesięciu dziewięciu liczyła na ochotników. A żyliśmy wszyscy lepiej niżli zyją bracia. Przeglądając kartki mego notatnika, serdeczny, miłosny, braterski uśmiech przesyłam Wam towarzysze broni.).

I.

Miejsce postoju baterji—18 sierpnia 1920 r.

..w granatowej spódniczce, białej bluzce, w koronkowym batystowym fartuszku, który tak lubię, podawałaś mi właśnie filiżankę czekolady. Zdaje się, że było jeszcze parę osób—nie wiem dobrze—pamiętam jednak, że z pod rzęs rzuciłaś mi jedno z tych spojrzeń, za które mam ochotę paść Ci do nóg. Mgnienie, a miałem zamurzyć wargi w pachnącym, słodkim, gęstym płynie...

— Wstawaj Slaw!

Drgnąłem i zbudziłem się odrazu. Przebudziłem się tem rzeźkiem, piorunowem żołnierskiem przebudzeniem, które zmazuje odrazu senne majaczenia, stawiając na nogi przytomnym, świadomych miejsca, stanu i czasu.

Karol, rozprowadzający i dowódca warty w jednej osobie, stał nademną z karabinem na ramieniu—za nim Bóg. R. —z bronią u nóg: majstrował coś u ładownicy.

Z oddali — wysoko ponad głowami, donosił się przyciszony furkot. Szła gdzieś eskadra.

— Prędzej Sław—już pięć po pierwszej.

Odrzucam koc, wilgotny od rosy — zrywam się na równe nogi, przeciągam gwałtownie, aż chrzęsły kości, nakładam pas i mokrą furażkę, sprawdzam machinalnie naboje w ładownicach, chwytam karabin, zdzieram pośpiesznie chustkę, ochraniającą zamek od rosy, wyjmuję kłak z lufy — raz dwa, trzy — karabin na ramieniu...

Zniecierpliwiony posterunek, który mamy zluzować, pogwizduje alarmująco...

— Zachodź — warta za mną!

Łapię krok — idziemy.

Posterunek przytupuje z niecierpliwości: każda minuta zwłoki, to minuta skradziona snu — a jest już r, zaś o piątej pobudka.

— Bacz — ność! — do nogi — broń! Zachodź!

Instrukcja — rzecz wiadoma, baczyć głównie na drogę i amunicję—drugi posterunek po tamtej stronie — jednem słowem: gotowe i jasne.

— Warta za mną...

Zostaję sam. Przedewszystkiem z chwilą, gdy sylwetki odchodzących zlewają się z nocą w jedną, nasyconą czernią płachtę, zapalam papierosa, skrywając go i rzezornie w dłoni. Palenie na warcie jest surowo wzbronione, wiem o tem. „Pokażcie mi takiego... syna, który twierdzi, że się nie bał nigdy" — powiedział najodważniejszy z odważnych marszałek Ney. — Pokażcie mi taką wartę, która nie pali — mówię ja. — I obaj mamy rację. Noc jest ciemna i cudna. Gdzieś na horyzoncie ludzie pokryli szmat nieba krwawą płachtą łuny. Z oddali donosi się spazmatyczny, acz cichy, łomot. Bolszewicy chcą wejść do miasta, a nasze pułówki tłomaczą im, że droga zajęta. Pozatem daleko, daleko poszarpany rząd światełek, a nad niemi przestrzeń zlekka przesiąknięta różem. To Miasto. Nad głową zawisł strop czarnego aksamitu, dzierzganego w drobne krople gwiazd. Dla nastroju powinien być księżyc, który by „złocił bagnet" na moim karabinku. Bardzo żałuję, ale księżyca niema, skryła go jakaś chmurka — i bagnetu też nie ma: mam rosyjski karabin i mój bagnet nie włazi na lufę. Zresztą artylerja...

Żołnierka może być albo powołaniem, albo rzemiosłem, albo ciężkiem obowiązkiem. W pewnych chwilach nie jest ona jednak niczem z trzech — żołnierka staje się wtedy poprostu musem, czemś, pozaczem nie można się pomyśleć, czemś, co jest tak Tobą, jak Ty jesteś człowiekiem. Wtedy, w takich chwilach, chwilach najwyższego nerwowego napięcia narodu i jednostki, każdy ruch, każde wykonywane polecenie, nabiera specyficznej wagi i znaczenia. Żyje się istotnie tem, co się czyni i kładzie się całego siebie w to, co się czyni. Odrzucam papierosa, zarzucam karabin na ramię i zaczynam mierzyć „równym krokiem" powierzony mej pieczy odcinek. Korzystając z wolnej prawej ręki, sprawdzam czy mój brauning łatwo wychodzi z pochwy. Reszta „cywila" w żołnierskim mundurze, każe mi jednak polegać więcej na brauningu, niż na tej ciężkiej maszynie, spoczywającej na mojem ramieniu.

Jest mi cicho i dobrze.

Noc układa mi się w mózgu w szereg rymów, w misterne sonety, w każdy dźwięków — zda się, że brak tylko papieru i ołówka, by zapisać, utrwalić melodje, które zapełniają mi głowę.

A zarazem myślę o Tobie, tęsknię za Tobą... Tak bym Cię chciał zobaczyć — usłyszeć. Równolegle z tem jednak, z tą podświadomą tęsknotą za rymem, za Tobą, cały świadomy ja, przemieniam się w kłębek nerwów, wżerających się w noc, w jakąś żywą soczewkę, ochraniającą każdy szmer, każdy podejrzany, czy niepodejrzany ruch i szelest.

W oddali śpi Miasto. Śpi spokojne i ciche zapewne—a spać może, bowiem na jego krańcu jesteśmy my—baterja—a w koło nas dziesiątki innych baterji, baonów i pułków—więc Miasto może spać — spokojne, dopóki żyjemy i czuwamy my...

Jest noc. Baterja spoczywa snem czujnym i chwiejnym. Starczy mi pocisnąć cyngiel karabinu, by prysł sen, starczy okrzyku, by żądła reflektorów wpiły się w niebo, a śpiżowe paszcze dział uniosły ku gwiazdom — jeżeli jednak baterja spoczywa—na pozór spokojna i cicha — to temu dzięki, że czuwam ja — że graniczne linje pozycji miarowym krokiem mierzy żołnierz,—i nagle zdaje mi się, że spokój baterji, że bezpieczeństwo i sen Miasta, że życie Twoje, spoczywa na synglu mego karabinu. Że czuwam i chodzę ja — by mogło spać Miasto i Ty— — że jutro może umrę ja — by żyło Miasto i Ty. I jest mi z tem dobrze.

Błyska światło...

— Kto idzie?

Cisza — światełko się zbliża...

— Stać, bo strzelę!

— Komendant warty!

(D. c. n.)

Redaktor Odpowiedzialny i Wydawca: WŁADYSŁAW EVERT.

Druk „Współczesna", Szpitalna 10.